

usłyszałem zdecydowany głos Pranas, który wpłynął na mnie uspokajająco, dodał otuchy w tej wewnętrznej walce ze strachem: – I co ci ludzie widzą w tych trupach? Przecież martwe osoby nic nie znaczą. Tyle warte, co kawałek drewna, cegły, kamienia. Na froncie widziałem nie tyle, co tutaj zabitych. Nawet czasami nimi się przykrywałem, zasłaniałem przed kulami wrogów, a zwłaszcza snajperów. Tak do nich się przyzwyczaiłem, że stanowili dla mnie drobną trawkę...

– Pranakas, już przestań wspominać tamte straszne czasy... – przerwała mu jego żona Weronika, która nagle pojawiła się w mieszkaniu z naręczem drewna i zdołała jeszcze usłyszeć końcówkę wynurzeń męża.

Do tego momentu była prawie niezauważalna, nieuchwytna, bo cały czas kursowała tam i z powrotem, między kuchnią a pokojem, nawet chwilę nie usiadła, nie spoczęła, to podkładała drewno do pieca, mieszała w garnku, to znów coś prała w balii, cerowała skarpety, zamiatała podłogę. Była to niska, chuda jak szczypiołek na wiosnę, z lekka przygarbiona brunetka, znacznie starsza od swego męża. Pomimo licznych bruzd na czole i zmarszczek wokół oczu, twarz prezentowała się nieźle i dałaby się określić jako niebrzydka, szlachetna, natomiast ręce odbiegały, że tak powiem, od normy i były zbyt długie, żyłaste, mocno spracowane. Ubrana w długą aż do kostek ciemną spódnicę, szary sweter swojej roboty wyglądała nienadzwyczajnie i na pierwszy rzut oka można było przyjąć ją za służącą, pracującą u Pranas. Oczywiście, we wczesnym dzieciństwie nie zwracałem uwagi – co jest rzeczą naturalną – na wygląd otaczających mnie osób i ten pobieżny portret Weroniki pochodzi z trochę późniejszego okresu, kiedy już dojrzałem wystarczająco do bardziej wnikliwej obserwacji ludzi.

– Warusia, co tam pleciesz? To nie twoja sprawa. Lepiej przygotuj mi trochę kawy z mlekiem. Słyszysz? I to szybko! – wydał rozkaz zdenerwowany Pranas, który bardzo nie lubił, kiedy żona wtrącała się do jego rozmowy.

– Już... już... poczekaj trochę... Nie denerwuj się... – i szybko postawiła garnuszek z kawą na rozgrzaną płytę piecyka. – A ja bardzo boję się zmarłych, nie mogę znieść ich widoku. Wydaje mi się, że oni przychodzą do nas... – nawiązała do poprzedniego tematu.

– Ależ ty głupia. Czego tu się bać? To tylko tchórze, mięczaki trzęsą się ze strachu. Ja mogę nawet w nocy przebywać na cmentarzu i nic mi się nie stanie z tego... – pochwalił się Pranas.

– No popatrz... popatrz jaki ty śmiały... – nie wytrzymała Weronika i dorzuciła swoje trzy grosze.

– Już ci mówiłem... Nie wtrącaj się tam, gdzie nikt ciebie nie pyta. Do garów babo! Tam twoje miejsce.

Ta ostra reprymenda poskutkowała i ostatecznie wyeliminowała Weronikę z rozmowy, a jednocześnie został przerwany wątek cmentarny, który tak bardzo przykuł moją uwagę.

– No, kiedy wreszcie przyniesiesz kawę? Paskudnie jest na dworze... W kościach cały czas łamie... – zaczął narzekać Pranas i tym samym zmienił temat poprzedniej rozmowy na bardziej niewinną, obojętną gadaninę o pogodzie i byle czym.

Przypadkowy słuchacz, który wpadał do „lepianki”, ażeby trochę się ogrzać, przeważnie nic nie mówił, potakująco kiwał głową, jakby w ten sposób akceptował jego narzekania. Poczuliem się nagle bezpiecznie i pewnie przy Pranasie, bo przecież taki człowiek niczego i nikogo

się nie bał i nawet trupy, największy mój postrach, dla niego były tylko kaszką z mleczkiem. Od tamtego momentu stał się dla mnie wielkim autorytetem i zawsze starałem się przysłuchiwać jego mądrym opowiadaniom o wydarzeniach na froncie i ta pewność siebie, spokój w jego głosie wpływały na mnie krzepiąco, dodawały odwagi.

Leżał na żelaznym łóżku w przestrzennym pokoju pod grubym kocem, z rękoma założonymi za głowę i w zasadzie nie zwracał większej uwagi na to, co dzieje się po drugiej stronie ulicy, zajęty był raczej swoimi myślami i tylko od czasu do czasu opowiadał o niedawnych przypadkach wojennych, wcale nie bacząc na reakcje przypadkowych słuchaczy, a poza tym kątem oka obserwował poczynania Weroniki, którą co i rusz poganiał, ustawał – jak mówił – żłośliwi sąsiedzi – na właściwe tory, gdyż uważał, że kobieta nie może nawet minuty spędzać beczynnie, próżnować, zawsze powinna się znajdować w ruchu. Był to wysoki, zwalisty mężczyzna w wieku około 35 lat, o nieproporcjonalnie długich, mocnych rękach i potężnych barach. Twarz jego w ogólnym zarysie była jak gdyby wyciosana – zresztą niezbyt starannie – z grubego, niesolidnego materiału, a cera swoją barwą przypominała wypaloną glinę. I wydawało się, że usta, nos i oczy nie pasują do całości twarzy i każda część istnieje samodzielnie, znalazła się na tym miejscu przypadkowo. Chód miał ociężały, powłóczył nogami i w nocy, kiedy panowała cisza, twerczenie po dochodzących do nich odgłosach „huf, huf, huf...” mogli bezbłędnie zgadnąć, że idzie Pranas. Oczywiście jego obraz z biegiem lat ulegał coraz większym zmianom, bo proces starzenia się dotyczy przecież każdego człowieka, a poza tym ja również przeżywałem pewną metamorfozę i mój sposób widzenia stawał się trochę inny, wyraźniejszy i dojrzałszy.

Pranas nie należał do rdzennych twerczan, był więc nietutejszy – jak określano tego typu mieszkańców na Litwie – a jego korzenie tkwiły w zasadzie w małej miejscowości Pieczurki, położonej na piaszczystym, stromym brzegu Birwety w odległości trzech kilometrów od Twercza, w którym zamieszkał znacznie później. Wioska ta, o niezawartej zabudowie, gdzie gospodarstwa chłopskie, zwane chutorami znajdowały się w dużej od siebie odległości, należała do bardzo biednych, zaniedbanych i prawie nikt z jej mieszkańców nie posiadał więcej niż 3 ha ziemi, a i to mało urodzajnej. Bardzo często wczesną wiosną, na przednówku nie starczało im chleba i innych produktów żywnościowych i całe rodziny przymierając głodem, musieli zadłużać się na dworach u zamożnych właścicieli ziemskich, zwanych tutaj wielmożnymi panami, a później, już po żniwach oddawać w procentami część swego urodzaju. Imali się wieśniacy różnych sposobów, ażeby przetrwać ten ciężki okres: łapali ryby w rzece przy pomocy siatek, wędek i... dynamitu, zakładali potajemnie sidła, wnyki na sarny, zające, lisy, kuropatwy, a nawet organizowali nielegalne nagonki na samego łosia, którego mięsa starczało na parę tygodni dla całej wioski. Oczywiście kłusownictwo, tak jak i dzisiaj, było surowo zabronione i niejedyn mieszkaniec Pieczurek musiał odpokutować za zrabowanie leśnej zwierzyny paromiesieczną odsiadką w świątynskim areszcie, chociaż później wracał do domu i dalej kontynuował swój nielegalny proceder, bo przecież innego sposobu na wykarmienie rodziny nie było. Rodzina Pajkianów, do której należał Pranas, uchodziła za najbardziej ubogą wśród tych biedaków i trudno było sobie wyobrazić jak na 1,5 ha marnej ziemi dało się wyżywić aż

sześć osób: rodziców, Pranas i trzy siostry, a w przyszłości i więcej rodzeństwa. Zdarzały się chwile, że dzieci budziły się i zasypiały z jedną jedyną myślą: jak najęść się do syta, napełnić brzuch, z tego też powodu często płakały. Ojciec Mikołaj oprócz tego, że obrabiał swoje poletko, to jeszcze pracował przez całe lato jako parobek u pana w majątku w Poświli i brał udział w wyrębie lasu. Zapracowany, wymęczony do granic swych możliwości nie mógł podnieść się znad stołu wieczorem po skromnej kolacji i żona Adela naprężyła swoje siły, podnosiła go i zwała ją jak bezwładny kłoc do łóżka. Największą i jedyną przyjemnością sprawiała mu sobotnia łaźnia, kiedy po ciężkiej tygodniowej pracy mógł wreszcie wyprostować kości, wygrać się, wyparzyć i wtedy czuł jak ciało oddycha całą swoją powierzchwnością, staje się lekkie, przyjemne, aksamitne, a po powrocie do domu szybko włożył pod kołdrę i nawoływał żonę do uczynienia tego samego. Nagle odżywały w nim siły vitalne, pojawiały się wprost zwierzęce chęci seksualne, zmuszał od razu siłą swoją partnerkę do całkowitej uległości, pomimo jej oporu, płaczu, widocznie nie miała przyjemności być tarmoszona, ugniatana jak kura przez koguta.

– Mikołaj, uspokój się. Ja nie chcę. Nie zmuszaj mnie siłą. Błagam ciebie – piszczała Adela.

– Szybko rozbieraj się! Cholera jasna, na co czekasz? Słyszysz co mówię? Zdejmuj koszulę... szarpał, szturchał partnerkę i starał się ją ułożyć w odpowiedniej pozycji.

Odbywało się to w sposób publiczny, otwarty, przy bawiacym się obok Pranasie z siostrami, który z początku nie rozumiał, co się dzieje i głośno krzyczał, nawet płakał, starał się pomóc mamie, odbić ją z rąk brutalnego taty, ale z biegiem czasu do takich scen się przyzwyczał i już wcale nie zwracał uwagi na harce rodziców w łóżku. Tego rodzaju podporządkowanie kobiety mężczyźnie nie stanowiło nic nadzwyczajnego, rażąco złego, wykraczającego poza ogólnie przyjęte normy obyczajowe, a wręcz przeciwnie uchodziło za normalne, powszechnie akceptowane zjawisko i nikt nawet nie ośmieliłby się tego wtedy określić jako gwałt, czy też molestowanie seksualne i dopiero w dzisiejszych czasach tego rodzaju nazewnictwo weszło do powszechnego użytku. Wtedy za wzór męskości uważano takiego faceta, który był brutalny, małomówny, od czasu do czasu bił żonę lub kochankę, pił wódkę, palił tabakę i... mocno śmierdział, natomiast wcale nie zwracał uwagi na piękno jego twarzy i ciała; idealną kobietą mogła zostać tylko ta, która nigdy nie sprzeciwiała się woli mężczyzny, była zawsze potulna, przywiązana jak piesek do niego, pracowita jak mrowka, wierna, no i w miarę niebrzydka. Większość tych wymogów męskiego „piękna” spełniał ojciec Pranas Mikołaj, ale niestety nie pił zbyt często wódki, nie produkował samogonu, co bardzo szkodliwie odbijało się na jego reputacji.

– Co to za chłop, który chodzi zawsze trzeźwy? – zastanawiały się kobiety ze wsi. – A przecież mógłby uchodzić za całkiem przyzwoitego człowieka. Dziwny jakiś...

– Mikołaj pracuje, pracuje i świata bożego nie widzi, a bieda u niego aż piszczy... – śmiali się z niego koledzy. – A jak mocno pracuje w nocy. Nie ma pieniędzy na naftę i kładzie się spać wcześniej, wraz z kurami, no i później Adela co i rusz chodzi z brzuchem... Cha... cha... cha. Ma już czwórka i na tym nie koniec...

cdn.